

Fragment książki „Lubczyk na poddaszu” Natalki Śniadanko, która ukaze się 27 marca nakładem Biura Literackiego

[przekład Ksenia Kaniewska]

– Dziadziuś nie żyje. Samochód go zabił – powiedziała do telefonu mama i się rozłączyła.

Sarona stała pośrodku supermarketu z wózkiem załadowanym zakupami, które miała w planach zawieźć dziś na wieś babci i dziadkowi. Nigdy nie umiała odpowiednio zareagować na wiadomość o czyjejś śmierci, zawsze czuła się trochę niezręcznie, kiedy w takich wypadkach w oczach innych łzy pojawiały się szybciej niż u niej. Zaraz też na myśl przychodziły same głupoty. Powoli zatrzymała się i zastygłym wzrokiem wpatrywała się w plecy pulchnej niewiasty przed sobą, która najpierw długo i uważnie analizowała zawartość półek z niskokalorycznym jedzeniem, a potem rozejrzała się i jak gdyby nigdy nic powrzucała do wózka słodzone napoje, dżemy, ciasteczka czekoladowe, chipsy, konserwy i inne produkty, od których na jej miejscu Sarona by się powstrzymała. Na swoim miejscu też. Straciła tamtą z pola widzenia i zaczęła uważnie przyglądać się poplątanej mapie wysepek świeżych śladów na właśnie umytej przez sprzątaczkę podłodze, wilgotnym smugom, na której szybko wysychały. Zapach detergentu, którego używała sprzątaczką, był nieprzyjemny i Sarona z niepotrzebnym wysiłkiem starała się przypomnieć sobie, co to za środek, jednocześnie karcąc się za takie niedorzeczne myśli.

Potem przypomniało jej się, jak dziadek woził sześciolletnią Saronę i jej dwie młodsze siostry na jeźyny. Mama na lato zawsze wyprawiała je do babci na wieś. Jakoś niedługo wcześniej dziadek kupił Wołyniankę i bardzo się cieszył, że wreszcie będzie mógł przejechać przez takie miejsca, w jakich inne samochody grzęzły. I choć w aucie były tylko dwa siedzące miejsca z przodu, problem rozwiązano za pomocą dwóch dodatkowych taboretów, które latały po całej kabinie podczas jazdy. Żeby z nich nie zlecieć, trzeba było trzymać się rękami specjalnie zamocowanych do brezentu przez dziadka skórzanych rzemieni. Rzucalo potwornie, ale wszyscy dzielnie cierpieli i nikt nie śmiał narzekać. Szczególnie trudno było pokonać dość szeroki rów, który przecinał ulicę dwie chaty przed dziadkowym

gospodarstwem. Niewątpliwie ma on jakieś szalenie ważne gospodarskie znaczenie i nie ma możliwości, by zasypać go przynajmniej częściowo, żeby łatwiej było przejeżdżać samochodem, bo zachował się w takim samym stanie do dziś. Sarona za każdym razem wychodziła z wozu przed przejechaniem rowu, ale ani razu nie udało się jej nie przytrzeć podwoziem. Zimą ziemia wzdłuż rowu nie zamarzała, latem zawsze tam było błoto. Kiedy dziadek po raz pierwszy pokonywał rów nie na rowerze, lecz Wołynianką, z impetem wjechał weń na pełnym gazie i Sarona boleśnie rąbnęła głową w tylne drzwi samochodu.

– Jak tam załoga? – obejrzał się dziadek, kiedy minął rów. – Wszyscy żyją? No i richtig. W czołgu trzęsło o wiele mocniej, a wojnę wygraliśmy. Jedziemy dalej.

Jechało się nie jakoś specjalnie daleko, ale że wąskimi leśnymi ścieżkami, przez błoto i nory, pomiędzy nisko płożącymi się gałęziami drzew, o czołgu więc przyszło wspomnieć jeszcze nie raz. W końcu wreszcie dojechaliśmy do rezerwatu, gdzie dziadek miał znajomego leśnika. Blade, z zaciśniętymi ustami, wyszliśmy z samochodu, starając się nie zwrócić obfitego babcinego śniadania. Wciągnęliśmy w płuca poranne leśne powietrze i kiedy spojrzaliśmy pod nogi, okazało się, że cała ziemia usłana jest wyłącznie jeżynami. Owoców było tyle, że zakrywały sobą nawet listki. Sarona nigdy wcześniej ani też nigdy później nie widziała takiej ilości jeżyn w jednym miejscu. Z początku stała jak oniemiała – zupełnie jak teraz, pośrodku supermarketu – patrzyła gdzieś daleko przed siebie, a jej uwagę przykuły jakieś kompletnie drugorzędne szczegóły. Uważnie obserwowała pająka, który niespiesznie przełaził z listka na jej nogę, od czasu do czasu zastygając w miejscu, jakby też zagapiał się na dorodne jeżyny. Potem jej wzrok przykuł listek na drzewie, przez który przeświecały na słońcu niebieskawe bąbelki. Przypominało to namalowane niewprawną dziecięcą ręką kontury mapy. Słoneczne promienie gdzieniegdzie przebijały się przez gęste chaszczki, coraz to z jakiegoś listka wystrzelały, rozbłyskując nagle, pojedyncze krople rosy. Wydawało się, że zaraz niczym na odłamkach górskiego kryształu ukaza się na nich się wielokątne szlify i tajemnicze wyszczerbienia, które tak samo zagadkowo znikną, gdy tylko słońce zaświeci z innej strony. Sarona spojrzała na świeżą plamę z jajecznicy na dawno niepranej nogawce dziadkowych spodni z wypchanymi kolanami. Jej siostry całkowicie pochłonięte były zbieraniem jeżyn, garściami wpychały do buzi słodkie owoce, z których czarny sok tryskał

spomiędzy palców i gęstymi strużkami ściekał aż po łokcie i po szyi. Ona tymczasem w żaden sposób nie mogła otrząsnąć się z wrażenia raptownej i niezwyklej ostrości przeżywania momentu, świadomości znalezienia się tu i teraz, co nie miało nic wspólnego z tym, co działo się do tej pory, ani z tym, co wydarzy się później. I to odczucie odosobnienia w ciągu chwili, która szybko i nieprzerwanie mija, nie pozwalało ruszyć się, kazało się zatrzymać i powoli chłonąć najdrobniejsze detale wszystkiego, co udawało się uchwycić, żeby potem przetworzyć ten epizod w jedno z najbardziej wyraźnych wspomnień z dzieciństwa. Bała się zburzyć tę przypadkową i kruchą harmonię odczuć, ostrożnie oddychała, niby motylek, gotowy raptem się zerwać i hen polecieć.

W czasie kiedy one napychały się do syta, a później napełniały jeżyną parę wiader na powidła i nalewkę, dziadek w zamyśleniu patrzył przed siebie i palił w skupieniu. W pewnym momencie nagle wyciągnął rękę gdzieś w kierunku prześwitu pomiędzy krzakami, skąd słońce przebijało się ukośnymi promieniami, które, wydawało się, dałoby się pochwycić w dłoń.

– Patrzcie. Nie tam na prawo, ale tu, gdzieś za tym drzewem, jest prawdziwe centrum Europy – powiedział i uśmiechnął się zadowolony z siebie, a potem, niby jako ostateczny argument, który nie potrzebował żadnego dodatkowego potwierdzenia, dodał: – Naukowo to potwierdzono – wypuścił dym z swojej własnoręcznie zrobionej fajki. Fajki dziadka nauczył robić w latach pięćdziesiątych przyjaciel partyzant, kiedy z większością mieszkańców swojej wioski ukrywali się w okolicznych lasach. Przyjaciel był Hucułem i niedługo potem zginął. Dziadkowi na pamiątkę ostała się fajka zrobiona przez przyjaciela. Trzymał ją w serwantce i rzadko używał. Była to jedyna dziadkowa rzecz w tym królestwie najcenniejszych, według babci, przedmiotów – kieliszków do wódki, naczyń od kilku wybrakowanych serwisów i świątecznych talerzyków w kwiatki, obwiedzionych lśniąco liniami przypominającymi lureksowe wstążki. Wtedy dziewczynki były jeszcze zbyt małe na rozmowy o centrum Europy i dopiero kilka lat temu Sarona przypomniała sobie o tym, kiedy oglądała film dokumentalny, w którym dziennikarze zjechali ponad trzydzieści takich centrów w różnych krajach Europy Wschodniej, a w każdym z nich zawsze jakiś pewny zwycięstwa nauki dziadek pokazywał wycinek z lokalnej gazety, gdzie wszystko było

napisane. Każdorazowo w tle grupka kilku najstarszych mieszkańców przekonująco kiwała głowami, że niby, tak, tak, to wszystko racja, potwierdzamy – środek Europy jest właśnie tutaj, u nas, jedyny i niezmienny, ktoś w ogóle w to wątpi?

